



TYGODNIK ILLUSTROWANY DLA DZIECI.

PRENUMERATA WYNOŚI:

W WARSZAWIE rs. 4, na prowincyi w kraju i zagranicą rs. 5 — stosownie do téj ceny półroczna i kwartalna.
Biuro Redakcyi, ulica Mazowiecka Nr. 10 nowy.



Króliki w Australii.

Króliki w Australii.

Najmniejsze, najsłabsze stworzenia, jeżeli tylko zbiorą się w wielkiej ilości, mogą dokonać dużo dobrego lub złego. Któż nie zna królików? Zwierzątko te, podobne bardzo do zajęcy, nie żyją u nas w stanie dzikim, bywają tylko gdzieś niedzie hodowane, a te przybrały barwę białą; dzikie króliki są szare. Póki liczba ich jest umiarkowana, można je uważać za pożyteczne, dają bowiem smaczne mięso i lekkie dość ładne futerko. Lecz rozmnożone do zbytku, stają się niekiedy prawdziwą plagą, nakształt szarańcchy.

W Australii w dawniejszych czasach nie było wcale królików. Osadnicy angielscy sprowadzili je z Anglii niezbyt dawno i puścili wolno po lasach i łąkach. Wyobraźciez sobie, co się stało: królikom nadzwyczaj się podobał klimat australijski, trawka tamtejsza niezmiernie im zasmakowała, jak się rozgospodarowały, jak zaczęły się mnożyć bez miary, doszło do tego, że dziś miliony i miliony niepolicone tych zwierzątek, rosłych, opasłych, pokryło żyzną ziemię australijską. Drobiazgi ten wyrządza wszędzie szkody najokropniejsze, pożera do szczętu paszę na pastwiskach; bydło, owce po prostu z głodu giną, po tych żarłokach nic a nic dla nich nie zostaje. Toż samo dzieje się ze zbożem, z warzywem, osadnicy w krótkim czasie z dobrobytu przeszli prawie do nędzy, zmuszeni są za bezcen wyprzedawać grunta, które nie dają żadnych dochodów.

Próbowano najrozmaitszych sposobów, aby wygubić szkodne zwierzątko, nic jednak nie obmyślono dotychczas skutecznego, króliki żartują sobie z wszelkich usiłowań ludzkich, hasają rozkosznie po żyznych polach i łąkach, pustosząc i niszcząc wszelką roślinność do szczętu. Rysunek nasz przedstawia krajobraz australijski z królikami, nadjeżdżający nieszczęśliwy właściciel tej ziemi, na której tak pięknie gospodarują, nie budzi w szkodnikach żadnej obawy. Chociażby ich setki całe potrafił wygubić, zostaną jeszcze tysiące, miliony innych, które pomszczą swych braci, doprowadzając go do nędzy.

ANIOŁ PAŃSKI.

Zorza świta — z wież kościoła
Anioł Pański dzwonek woła.
Miasto jeszcze w śnie i ciszy;
Dzwonek woła — któż go słyszy?

Słyszają może na ulicy
Już przy pracy robotnicy;
Słyszają może ci — co w nocy,
Z troski, żalu, czy niemocy,
Snu słodkiego nie zaznali,
Modlili się i płakali.
Oni słyszają, jak z kościoła
Anioł Pański na nich woła,
I w ich sercach dzwonka echo
Brzmi nadzieją i pociechą.

Ale dzwonku! ciszej, ciszej!
Nie budź tego, kto nie słyszy;
Kto syt uciech całodziennych,
Rozkoszuje w marach sennych,
I ma dosyć na marzeniu,
Gwoli sercu i sumieniu!

Bo i cóż ztąd że ich zbudzi?
Tego zgniewa, tego znudzi,
Ty im niebo wciąż chcesz głosić,
Im dziś ziemskich uciech dosyć.
Ty do życia chcesz ich budzić,
Oni wołają w snach się łudzić;
I czy głusi, czy nie głusi,
Głos twój powstać ich nie zmusi.

A więc dzwonku! ciszej, ciszej!
Kto cię nie chce, niech nie słyszy!
Bo straszniejszy sąd dla duszy,
Gdy kto słysząc, zamknie uszy.

Ale dzwonek coraz szerzej,
Coraz głośnień woła z wieży.
Ja go słyszę — więc przynamnie
Niech nie próżno woła na mnie.
Niech się z jego sercem z spiżu
Łączy moje — i na krzyżu
Choć mój głos z nim Pana chwali,
Póki drudzy będą spali.

Marja Róza.

WIŚNIE KSIĘDZA PROBOSZCZA.

Z opowiadania księżny Kantakuzen Altieri.

Prześliczny był ranek majowy. Sędziwy ksiądz proboszcz otworzył okno, wyglądając na ogród; ukończył już pacierze i rozmyślanie, teraz miał iść ze mszą do kościoła. Ponieważ to był miesiąc Maryi, więc chciał zerwać trochę kwiatów, przechodząc przez ogród, by świeży bukiet postawić na ołtarzu Najświętszej Panny. A właśnie na jednej grządce miał on parę krzaków lilij, na które czatował oddawna, teraz przecież te piękne pączki musiały już zakwitnąć.

Ksiądz proboszcz włożył kapelusz i wszedł do ogrodu. W niedużym tym ogródku wszystkiego było po troszę: róże obok groszków pachnących, georginie obok pomidorów i kalafiorów, dalej rumianek dla chorych, tulipany i sałata, konwalia w cieniu drzew owocowych, mięta, rozmaryn, a za grządkami stały ule i roje pszczoł brzęczały dokoła.

O tej rannej godzinie ogródek księdza proboszcza wyglądał uroczo; w kielichach kwiatów, na ździebelkach trawy, błyszczały kropelki rosy, w gałęziach grusz i jabłoni świegotały ptaszęta, z głębi dużego krzaku głogu odzywał się słowik, który tam gniazdko urządził, dokoła probostwa z błyskawiczną szybkością fruwały jaskółki, gnieźdzące się pod dachem, a poczciwy pies Lupo, stary już i trochę leniwy, przeciągał się na słońcu przed budą. W powietrzu unosiły się jeszcze lekkie przezroczyste mgły poranne, które promienie słoneczne za chwilę rozproszyły.

Ksiądz proboszcz obejrzał lilie. Po namyśle przekonał się, że z zerwaniem ich należało trochę poczekać. Jeden kwiat dopiero zupełnie był otworzony, inne pękały zaledwie. Za dni parę rozwina się w całej okazałości, przypadnie to właśnie na zakończenie nabożeństwa majowego, a to miało być obchodzone z wielką okazałością. Panna Eleonora, kolatorka, obiecała dać do ołtarza nowe firanki muślinowe z niebieskimi kokardami. Lilie białe prześlicznie przy nich wyglądać będą, zwłaszcza, gdy zapalą się wszystkie świece, więc dziś pozostały nietknięte.

Tymczasem ksiądz proboszcz zrzucił parę ślimaczków, pełzających po łodygach wspaniałych kwiatów i kilka żuczków czerwonych, usadowionych w kątach liści. Nie zabijał tych biednych stworzeń, lecz nie pozwolił im niszczyć kwiatów, przeznaczonych na ołtarz Matki Bożej. Zerwał kilka ładnych różyczek, kilka gwóźdźników nakrapianych i parę gałązek bzu białego.

Przechodził potem obok szpaleru, gdzie rosło drzewo wiśniowe, przedmiot szczególnych i najtroskliwszych jego starań. Jeden z przyjaciół proboszcza, będący misjonarzem w Persyi, przywiózł mu był gałązkę wiśni rzadkiego gatunku, a ta, zaszczerpiona na dzicze, przyjęła się doskonale. Bo też z jaką troskliwością była pielęgnowana! Zaczny proboszcz własną ręką obwijał drzewko słomą na zimę, a na wiosnę polewał, osłaniał od wichrów i upału, oczyszczał z gąsienic, żuczków, mrówek, chuchał, dmuchał na ukochaną wisienkę swoją, czuwał nad nią, jak matka nad dzieckiem. I oto tej wiosny spotkało go wielkie szczęście, ze wzruszeniem ławem do odgadnięcia obaczył na drzewku pięć ślicznych pęczków kwiateczków białych.

O z jakimże niepokojem strzegł teraz proboszcz swego skarbu! Co wieczór z sercem bijącym oglądał termometr, czy nie zagraża młodocianym pęczkom przymrozek, któryby je zwrzył w zawiązku; co rano znów sprawdzał z radością, że żadna kłęska ich nie spotkała, że rozwój odbywał się w sposób prawidłowy i zupełnie pomyślny. Białe płateczki wnet opadły, uniósł je powiew wietrzyku, na ich miejscu ukazały się zielone kuleczki, zrazu malutkie, lecz powiększały się stopniowo, wypełniały, aż w końcu poczęły się rumienić, i wczesnie bardzo, w porze gdy inne wiśnie zwyczajne nawet najzarłocniejszych malców wiejskich nie nęca, owe perskie, osobliwe jagody dojrzały. Przy końcu maja, co jest rzeczą niesłychaną, ksiądz proboszcz w ogrodzie swoim miał wiśnie purpurowe, błyszczące, soczyste, gotowe do zerwania.

Wsparty na lasce, uradowany, zachwycony, ksiądz proboszcz wpatrywał się przez chwilę w te przepyszne jagódki. Nie, wzrok go nie mylił, były naprawdę dojrzałe! Gdy wiśnie dojrzeją, należy je zerwać, rzecz prosta; inaczej staną się pastwą łakomych wróblu, os, owadów rozmaitego rodzaju. Nie było co nawet odkładać, wypadało zerwać jagody zaraz, nim słońce przygrzeje, na upale owoc dojrzały długo pozostać nie może, gdyż więdnie i traci świeżość. Staruszek obejrzał się po grządkach, wybrał piękny, duży liść kapuściany, ostrożnie, nie bez wzruszenia zerwał pięć pęczków wisien jeden po drugim. Każdy składał się z sześciu lub siedmiu jagód.

Ułożył z nich ładną wiązanekę, a trzymając ją w ręce i spoglądając na nią z czułością, teraz dopiero pomyślał z pewnem zakłopotaniem, co on z temi wiśniami zrobi? Sam przecież jeść ich nie będzie, uchowaj Boże! Nigdy nic podobnego do głowy mu nie przyszło. Czyż to dla niego rosły i dojrzewały takie przepyszne, nadzwyczajne owoce? Jeśli zaglądał do nich troskliwie rano i wieczór, czuwał nad nimi i pielęgnował, to nie w tym celu, ażeby tym wyszukany przysmakiem zadowolnić własne podniebienie. Łakomstwo tego rodzaju za grzechy uważał.

A jednak nie mógł oczu oderwać od ślicznych, purpurowych wisien. Tak pięknie wyglądały w zielonej osłonie kapuścianego liścia, jak rumiane usteczka dziecięcy. Jaka szkoda, pomyślał ksiądz proboszcz, że ich nie można było umieścić wraz z kwiatami na ołtarzu Matki Bożkiej! Ale nie wypadało, niema tego zwyczaju, dziwiliby się ludzie, a dzieci miałyby powód do roztargnień, wpłynęłoby to zaraz na śpiewanie hymnów, pobudziłoby nawet do nagannego łakomstwa, ileż to chciwych oczek zwracałoby się na ponętne jagody! Zresztą, zawsze w końcu trzeba by je zabrać z ołtarza i oddać komuś do zjedzenia.

Te wiśnie takie wykwintne, o barwie jasnej, cieniutkięj powłoce, przezroczyste prawie miały w sobie coś pańskiego, coś wyższego, odznaczały się od gminnych, pospolitych owoców. A gdy to spostrzeżenie mimowoli powstało w myśli proboszcza, przypomniał sobie w téjże samej chwili kolatorkę pannę Eleonorę. Ona także pośród wszystkich parafian jego odznaczała się cechą wyższego urodzenia i wychowania, wyglądała na panią, bo też nią była w rzeczy samej.

— Już wiem, co zrobić — rzekł sobie w duszy ksiądz proboszcz — ofiaruję te wiśnie pani Eleonorze. Ona taka dobra, tyle mam dla niej obowiązków wdzięczności, a chociaż to rzecz drobna, nie wątpię, że jej sprawi przyjemność, nie na dar patrzeć ona będzie, lecz na chęci. Panna Eleonora

jest prawdziwą dobrodziejką mego kościółka, jest dobrodziejką ubogich w mojej parafii; ja znów nic nie posiadam szacowniejszego od tych wisien, które wyhodowałem z taką troskliwością, i komuż miałbym je złożyć w hołdzie, jeżeli nie jej? O tak wiśnie te godne są p. Eleonory, a ona godna tych wisien.

Zadowolony ze swego pomysłu, zaczny proboszcz zerwał drugi liść kapuściany, przykrył jagody z wierzchu, ażeby świeżość ich zachować, potem śpiesznie podążył do kościoła, bo godzina mszy się zbliżała. Panna Eleonora szła także ze strony przeciwnęj, bo ona nigdy mszy nie opuszczała, czy pogoda, czy słońca lub mróz, codziennie widziano ją w kościółku wiejskim. Miała już lat pięćdziesiąt kilka, lecz z daleka można ją było wziąć za młodą panienkę, tak dobrze i prosto się trzymała i tyle wdzięku było w całej jej postawie i w każdym ruchu. Wysoka, szczupła, nosiła zawsze czarną sukienkę jedwabną bez żadnych ozdób i takiż kapelus, a ubiór ten, niezmiernie prosty, nie był jednak wcale zaniedbany. Postać jej takie sprawiała wrażenie, jakgdyby zstąpiła ze starego malowidła, w którym czas przyćmił jaśniejsze barwy i zatarł wyraźniejsze kontury. Włosy jej płowe nieznacznie pomieszały się z białymi, oczy niebieskie miały wyraz łagodności i słodyczy, pociągający do niej wszystkie dzieci; na ustach błdził zazwyczaj uśmiech, w którym więcej było rezygnacji niż wesołości.

Dzieje całego życia panny Eleonory możnaby określić jednym wyrazem: poświęcenie. Urodziła się w zamku swym rodzinnym i nigdy go nie opuszczała. Młodą panienką będąc, pielęgnowała chorą matkę, nie chciała jej odstąpić, chociaż choroba ta trwała lata całe, a ciotka, zamieszkała w Paryżu, zapraszała ją do siebie, wabiła obietnicami zabaw i rozrywek, stosownych do jej wieku. Po śmierci matki nie wyszła za mąż, chociaż nie brakło jej starających się, lecz ona nie chciała opuścić młodziej siostry, potrzebującej opieki. Wychowała ją starannie, a gdy dorosła, wydała za człowieka, który dawniej o jej rękę się starał i przyrzekał czekać, póki nie będzie wolną od obowiązków. Lecz panna Eleonora spostrzegła, że człowiek ten podobał się jej siostrze, przytłumiła więc uczucia własnego serca i umiała go skłonić, by tę siostrę poślubił.

I tak zawsze, przez całe życie nigdy nie myślała o sobie, tylko dla innych się poświęcała, nigdy też nie okazała, że cierpi, że się czuje nieszczęśliwą. Zawsze tym samym wzrokiem spokojnym i łagodnym na świat i ludzi spoglądała, ten sam uśmiech rezygnacji miała na ustach. Włosy jej pobieleły tymczasem, lata mijały i coraz nowe przynosiły smutki, utraciła wreszcie tę siostrę ukochaną, dla której wyrzekła się własnego szczęścia i p. Eleonora pozostała samą jedną i opuszczoną w zamku rodzinnym.

Wówczas zacna kobieta została opiekunką ubogich, sierot, czas swój zapełniła dobrymi uczynkami, nie była i teraz nawet nieszczęśliwą, bo umiała być pożyteczną i jednać sobie wszystkie serca. Nie była samotną, gdyż dom swój otworzyła ubogim, kto tylko cierpiał, z ufnością garnął się do niej, a ona, niosąc każdemu pomoc, o ile to było w jej możliwości, ciągle innymi zajęta, nie miała czasu myśleć o sobie, o własnych smutkach i cierpieniach.

P. Eleonora była prawą ręką poczciwego proboszcza w uczynkach miłosiernych, on ją szanował i wielbił, jak świętą. Zwykle też po mszy widywali się w zakrystyi i załatwiali różne sprawy; dzisiejszego rana zeszli się tam także, a gdy p. Eleonora zbliżyła się do proboszcza, on wziął w rękę wspaniały dar swój, wiśnie owinięte w liście zielone i mówił głosem wzruszonym, z uśmiechem dumy, na ustach:

— Przynoszę kochanej pani pierwsze owoce, które dojrzały w moim ogródku, wyhodowane i wypielęgnowane moimi rękami. Drobnostka to jest zapewne, nie mająca żadnej wartości dla pani, lecz szczerem sercem ofiarowana. W każdym razie pozwolę sobie zwrócić uwagę pani, że to nie są zwyczajne, pospolite wiśnie, szczerem otrzymałem parę lat temu od przyjaciela, misjonarza, a ten go przywiózł aż z Azji. To też widzi pani, że moje wiśnie dojrzały daleko

wcześniej od tutejszych, krajowych, co już samo wartość ich podnosi.

Panna Eleonora nie nawykła była do pieczyoty, oddawna już nikogo z bliższych nie miała na świecie, ona zawsze innych obdarzała, sama nigdy nie otrzymywała darów, uprzejmość poczciwego proboszcza rozrzewniła ją niezmiernie. Serce jej niewinne zachowało uczucia dzieciennego wieku, wrażliwa była, jak młoda panienka. Rozpromieniona, rozradowana, nie umiała słów znaleźć na wyrażenie swęj wdzięczności, powtarzała tylko raz po raz:

— O, dziękuję, dziękuję, jakież ksiądz proboszcz dobry jest dla mnie!

I w duszy myślała też samo: jakież on dobry, najpierszych wisien pozbawia się dla mnie! Cóż to za uprzejmość, wiedział jaką przyjemność mi sprawi takim dowodem pamięci! A wychodząc z zakrystyi, odwróciła się jeszcze na progu i powtórzyła:

— Dziękuję, dziękuję.

Przechodząc przez kościół, uklękła przed ołtarzem i z dziecinną, rzewną prostotą dziękowała Bogu za tę radość, którą jej zesłał zaraz na początku dnia. Gdy wyszła na świeże powietrze, olśniła ją piękność poranku. Przechodziła obok pola, pokrytego kwitnącą koniczyną. Zapach traw i kwiatów rozchodził się w powietrzu, wabiąc brzęczące owady, skrzydelka ich złociste błyszczały w promieniach słonecznych, a wyżej unosił się skowronek i wyśpiewywał wesoło na cały głos, kąpiąc się rozkosznie w powietrznych przestworzach.

— O, jakaż piękna jest ziemia! — mówiła w duszy p. Eleonora — a coż to musi być w niebie!

I nagle uczuła jakby tęsknotę: o gdyby miała skrzydła, jak ten skowronek, co leciał pod błękity, gdyby mogła wznieść się aż tam wysoko, gdzie nie ma chmurki żadnej, gdzie panuje piękność wiekuista, szczęśliwość, niezakłócona ziemskimi cierpieniami. Anielska jej dusza tęskniła za ojczyzną swoją. Przypomniała sobie zarazem ukochane istoty, czekające tam na nią, tę matkę, tę siostrę, dla których się poświęcała nigdy. Ale czy to naprawdę było poświęcenie? W oczach świata, zapewne, lecz czy w rzeczy samej znalazłaby szczęście, postępując inaczej? czy znalazłaby ten spokój duszy i sumienia, to błogie zadowolenie wewnętrzne, które jest dziś jej udziałem, czy mogłaby z taką prostotą dziecinną ucieszyć się darem księdza proboszcza?

(d. c. n.)

TYRNOWA.

Rycinka nasza przedstawia Tyrnowę, starożytną stolicę książąt bułgarskich, miasto, które już za Beli IV było wolnem, a r. 1644 zdobyte zostało przez Jerzego Rakoczego; zaś r. 1848 po krwawym boju wzięte było przez generała Simunicza. Jest ono tak starem, że oprócz konaku tureckiego, niema tam ani jednego domu mającego mniej niż lat sto; są one stawiane z drzewa i z cegły, a cegła ta skutkiem wieku tak stwardniała, że równa się prawie żelazu. Ulice są pokrzywione, kręte i tak wąskie, że ledwo na dwóch lub trzech możliwym jest ruch powozów. Pomimo że Turcy długo tu panowali, pozostało jednak dużo dawnych pamiątek. Miasto samo rozsiadło się niby na siedmiu oddzielnych olbrzymich tarasach czy stopniach amfiteatralnie, na stoku stromęj wielkiej góry, i wisi niejako nad przepaściami, które tworzy u stóp jego rzeka Jantra, kręto a gwałtownie przedzierająca się w głębokich wąwozach, przez ogromny łańcuch Bałkanów północnych. Grobla dosyć wązka ale bezpieczna prowadzi od miasta do starożytnej twierdzy u szczytu nagiej góry: w tej twierdzy koronowano dawnymi czasy królów bułgarskich. Mury dawnego zamku, wały, bastiony, wrota, sterczą

na wysokości, tuż przy nich zwaliska starożytnego pałacu bułgarskich monarchów i katedry. Położenie Tyrnowy „Trnawy” słowackiej jest jednym z najpiękniejszych, najbardziej malowniczych w Europie.

List z Paryża.

Kochana Gołąbko!

Byłam wczoraj znowu na wystawie, więc spieszę opisać ci wrażenia, jakich tam doznałam. Zaczynam od: „Espla-



Tyrnawa.

nade des Invalides”, gdzie zwiedziliśmy najpierw „pawilon wojenny”. Twój braciszek zapewne lepiej odemnie zdołałby ci to opowiedzieć. Są tam armaty najrozmaitszych gatunków i mundury z przeróżnych czasów; nas szczególnie zajęły: mundury ułanów polskich z czasów pierwszego cesarstwa, również ubranie markietanki francuskiej (cantinière) z wielkiej rewolucyi. Ta czerwona krótkka spodniczka i biały fartuszek wraz z trójkolorową barylą, tak zachwyciły jedną z moich towarzyszek, że aż zapragnęła przywdziać strój podobny. Dalej widzimy mundur Napoleona I-go, jego tabakierkę, jako też srebrną łyżeczkę i widelec, które używał. Jest tu również wielki obraz przedstawiający śmierć księcia Poniatowskiego w falach Elstery. Ciekawem też jest przedstawienie obozu w naturalnej wielkości; pod namiotami siedzą tu żołnierze z wosku, poubierani w przeróżne mundury, doskonale ugrupowani. Lecz dosyć o wojnie. Przechodzimy teraz do oddziału kolonii francuskich. Zdaleka już słycać smutną nie-

co, a bardzo jednostajną muzykę Anamitów*). Siedzą oni w małych, słomą krytych budkach, zupełnie jak zwierzęta w ogrodzie zoologicznym, i wyobraźcie sobie, 12-to letni nasz towarzysz o mało się nie pobił z jednym murzynkiem... Ten sam czarno-skóry chłopczyk niezmiernie okazał zdziwienie, gdy moja Maryla z Krakowa poważnie odezwała się doń po polsku: „Dzień dobry bracie!” Idziemy dalej; znów inna muzyka! to Murzyni z Martyniki. Melodya ich nieco weselsza; orkiestra składa się jedynie z bębenków i piszczałek. Gdy na pierwszym piętrze wielkiego bazaru, artyści wciąż uporczywie grają, na dole piękne mulatki w kolorowych chustkach na głowie i błyszczących naszyjnikach ofiarowują gościom owoce południowe. Zatrzymujemy się krótko, lecz oto znowu muzyka, nieco poważniejsza, ale zawsze okropnie jednostajna.

Wchodzimy teraz na wystawę algierską, gdzie liczne obrazy przedstawiają miejscowe widoki i portrety mężczyzn i kobiet tamtejszych. Figlarka Maryla zapytuje jednego Araba czy tu niema czasem portetu jego żony? „Jakto, woła tenże z oburzeniem, alboż to porządne kobiety dają się portretować!

Spieszę wam powiedzieć siostrzyczki moje, że widziałam też dzisiaj prawdziwą ludzką głowę, zasuszoną wedle zwyczaju Nowo-Zelandczyków. Jest to okropne, więc uciekaliśmy z tamąd.

Co raz to nowych spostrzegamy ludzi z różnych krajów i ich produkta, a wszystko to niezmiernie nas zajmuje i bawi, lecz oto pora obiadowa! Po obiedzie zostajemy jeszcze na wystawie, lecz wkrótce zmierzcha się zupełnie, a oczom naszym przedstawia się znowu nowy widok. O! siostrzyczki moje, czyż zdołam opisać wam owe przesławne, świetlane fontanny! Wyobraźcie sobie najpierw wieżę Eiffel oświetloną gazem od podstawy do szczytu, z którego znów światło elektryczne, rzuca ku ziemi snop jasnych promieni, jakby ogon olbrzymiego komety. Naprzeciw wieży, wspaniała kopuła centralna zdaje się być cała ze złota, tak błyszczą gazem; gdzieś niedaleko wśród tego złota, lśni wielki dyament: to światło elektryczne. Na samym szczycie kopuły wznosi się złoty posąg, oświetlony niekiedy srebrnym blaskiem owego komety z wieży.

Nagle wśród niezliczonego tłumu słycać gwar, widać jakiś niezwykle ruch, wszyscy prawie stają na krzesłach, również i my. Fontanny, a raczej wodotryski są przed nami!... Patrzcie! srebrne fale buchają do góry; już nie rozpoznasz, czy to ogień czy woda, już nie są srebrne, lecz czerwone, krwawe jak stopione rubiny; teraz znowu są to szmaragdy spadające! Co chwila barwa się zmienia, coraz piękniejsza woda wznosi się i opada, różne przybierając kształty. Barwy się łączą, mieniają, a kopuła centralna, złota, olśniewająca, gore z jednej strony, a z drugiej olbrzymia wieża także niby złota, rzuca na nas swoje białe światło, jakby błyszczący wzrok nadziejskiego stworzenia! Zachwytem przejęte stoją tłumy wokoło. Bo też niema co mówić, widok to precudowny! Maryla moja, która przedtem nie cierpiała owęj dręczącej już ją wieży, i która dziś jeszcze wołała: „Wystawa tylko na to istnieje, by łatwiej stracić czas i pieniądze” Maryla wołała teraz w zachwycie: „Niech żyje pan Eiffel.”

Tymczasem wodotryski zgasły i znikły; schodzimy z krzeseł i udajemy się do sławnej galeryi machin. W drodze dowiaduję się, że wspaniała ten budynek, o którego wysokości już wam mówiłam, jest tak długi jak wieża Eiffel wysoka: 300 metrów. Wchodzimy. Ach, siostrzyczki, jakież i tam oświetlenie, a co za hałas! Niezliczone maszyny ruszają się, wirują, podnoszą, lecą... W pośrodku widać kręcący się ogień niezmiernie błyszczący. Darmo uciekamy przed nim, zda się nas wszędzie gonić, wszędzie nas oblewa swym jaskrawym blaskiem. W mgnieniu oka wszystkie części tej olbrzymiej galeryi zajaśniały tęczowemi barwami, lecz to czarodziejskie oświetlenie trwa tylko chwilę, ale jakie jest olśniewające! Dziesiąta bije z łoskotem. Nagle ten olbrzymi zbiór machin poczyną razem pisać przeraźliwie — przy tej oryginalnej orkiestrze, towarzyski moje, choć okropnie zmęczone zaczynają... tańczyć mazura! Tak jest, siostrzyczki moje, wiedźcie, że naszego, ukochanego mazura tańczono w przesławnej galeryi machin, przy huku pary, pod tęczowem światłem ruchomego ognia...

Po północy dopiero powróciliśmy do domu, Marylka Rozbójnik i ja. Lecz jakież zapomnienie z mej strony! nie wspomniałam jeszcze o panoramie tranzatlantyckiej. Ponury Rozbójnik morski nie darowałby mi tego... Wyobraźcie sobie, że jesteście na pokładzie statku, przed portem Hawru... Naokoło morze, na niem przeróżne statki, w oddali ziemia — nad głową niebo — złudzenie zupełne! Schodzimy do śli-

*) Państwo Anam leży na wschodnim wybrzeżu półwyspu Indyjskiego.

cznego pokoiku, wszystko zdaje się urządzone tam, jak na prawdziwych statkach udających się z Hawru do Ameryki; przez okienko widać morze. Doprawdy, wszystko tu takie zdaje się wygodne, że bierze nas ochota położyć się na niby przygotowane łóżko i pływać po zielonych morskich falach... ach, gdybyż można do was, do ojczyźnej ziemi!

Ściskamy was Maryla i ja; Ponury Rozbójnik morski załącza pozdrowienie i donosi kolegom, że na parę dni płynię do Anglii, niestety, na tygodniowy tylko pobyt,

Wasza Jaskółka z nad Sekwany.

PUSZCZE SYBERYJSKIE.

Nie tylko w Ameryce są pustynie nie tknięte stopą ludzką. W Syberyi znaleźć można także nieprzebyte lasy, gdzie łomy i zawały wśród bagnistych trzęsawisk, stanowią rodzaj bezbrzeżnego oceanu, przez który wędrowiec przebić się nie zdoła. Wśród tych niezmiernych obszarów, dosyć jest zboczyć z utartej jakokolwiek drogi w gęstwinę, aby zabłądzić i zginąć bez ratunku. Cały północny klin ziemi zawartą pomiędzy Angarą i Jenisejem, jest taką puszcza zarosłą gęstwiną modrzewi, cedrów i innych olbrzymów leśnych. Tu i owdzie bardzo rzadko, w kilku kotlinach w głębi tych bezdni, gdzie rzeczka jakaś przecina otoczoną górami dolinkę, znajdują się w torfiastym gruncie, pokłady złotodajnego piasku, co wypatrzywszy ludzie zbierają się tam w nieliczną gromadkę i zakładają kopalnię, w której następnie pracują dzień i noc dla zyskania upragnionych bogactw... Każda taka kopalnia, gdzie stoją zwykle nędzne domki sklecone z okrągłaków, na wpół zapadłe w ziemię, czyniłaby wrażenie ubogiego zaścianka, gdyby nie budynki do niej należące, które wznoszą się opodal mieszcząc maszyny, płóczkarnie piasku, i składy różnych wykwintnych nawet przedmiotów ubioru i pożywienia, utrzymywanych tu przez przedsiębiorców, dla zachęcenia do pracy robotników widokiem tego, co nabyć mogą za zarobione pieniądze. O robotników bowiem, nie łatwo w puszczy zamieszkałej przeważnie przez dzikie zwierzęta, a mianowicie przez wilki i niedźwiedzie. Ostatnie zwłaszcza znajdują się tu w tak wielkiej liczbie, że spotkanie z nimi człowieka, bywa dlań niebezpieczne.

Aby je odstraszyć, nieliczni mieszkańcy kopalni zawieszają na szyi konia, zaprzężonego do swych wózków, mnóstwo dzwonek i brzękadeł, niedźwiedź bowiem, spłoszony tym odgłosem, zamiast być napastnikiem ratuje się sam ucieczką. Jedną z podobnych przygód opisał obecnie w petersburskiem piśmie „Kraju” podróżnik zwiedzający syberyjską puszcza.

„Ranek był prześliczny mówi, jadąc rozmawialiśmy wesoło z towarzyszami, gdy zauważyłem głuszcza przy drodze. Porwałem strzelbę z poza pleców, strzeliłem. Ptak utknął, podskoczył raz i drugi, machnął skrzydłami, które mu posłuszeństwa odmówiły. Zeskoczyłem z konia, oddając cugle towarzyszowi i pobiegłem za postrzelonym ptakiem, który uciekał w las. W gęstym krzaku jodłowym, w którym, jak się zdawało, zaszył się głuszec, zamiast ptaka, natrafiłem na czarną masę cielska. Był to niedźwiedź. Zażywał widocznie wczasu po łowach nocnych. Obudzony naraz potwór, powstał na tylne łapy, zamruczał i ryknął później, aż się drzewa zatrzęsły, a spłoszone stadko jarząbków uniosło się w górę, jak kłęby kurzu od spadającej bomby. Od drogi byłem już zdaleko, aby pomyśleć o odwrocie i ucieczce koniecznej. Zresztą i czasu zabrakło do namysłu. Niedźwiedź wyciągał już łapę po moją czaszkę. Odkoczyłem na bok, ukrywając się za brzozami, które na moje szczęście rosły gromadką, niby jednego pnia konary. Nie spuszczając z oka zwierza, śledząc najmniejsze jego poruszenia, począłem krzyczeć i wołać do swoich o odsiecz. Ale zamiast pomocy, posłyszałem galop uciekających koni, które spłoszone rykiem niedźwiedzim, urnęły z kopyta wraz z moim towarzyszem. Pozostałem więc sam jeden, oko w oko z obrzydliwą bestją.

Gdyby kto patrzył na tę scenę ze strony, miałby widok zaprawdę ucieszny. Ja krzyczę z strachu, niedźwiedź ryczy ze złości, próbując, ale napróżno, łapą mię pochwyć: przeskadzają mu brzozy. To go jeszcze bardziej drażni i podnieca. Cofa się nieco, szarpie mech pod nogami i ciska we mnie. Obchodzi następnie moją barykadę i atak rozpoczyna z innej strony, lecz także bezskutecznie, gdyż i ja tak się zawsze posuwałem, aby mię brzozy zasłaniały. Upatrzawszy chwilę stosowną, chciałem włożyć nabój do strzelby. Niestety, terebka z przyborami strzelniczymi została uwiązana u siodła.

W jakim stanie towarzysz mój dojechał napowrót do kopalni, nie wiem: był podobno także bardzo wystraszony. Mnie, polecał już Bogu, szepcząc pacierze za moją duszę. Przez uczucie litości chrześcijańskiej pragnął snadź tylko szczątki me zabrać i do ziemi zakopać. W tym celu po przybyciu prosił rządcy kopalni o wózek i ludzi, którzyby mi ostatnią tę posługę oddali.

Nie pamiętam też czy długo obłężenie trwało. Przestałem krzyczeć, przestałem i drzeć. Ogarnęła mię jakaś dziwna, skamieniała sztywność, którą instynkt i przytomność umysłu, obracały dokola drzewa automatycznie, jak maszynę. Wiem tylko tyle, że taniec ten szczególny ustał naraz. Nieprzyjaciel, ryknąwszy raz, i raz jeszcze obrzuciwszy mię garścią mchu i ziemi — odstąpił. Ujrzałem po chwili, jak się włókł w głąb lasu — gniewny i jakby się wahający. Z początku oczom swym wierzyć nie chciałem, ale zagadka została wkrótce wyjaśniona: okazało się, iż niedźwiedź pierwój odemnie posłyszał hałas dzwonek i zbliżające się głosy ludzkie. Był to mój towarzysz z ludźmi, przybywający po moje szczątki.”

WSPOMNIENIA MŁODEGO WĘDROWCA

Z PODRÓŻY NAOKOŁO ŚWIATA.

(Dalszy ciąg).

Byliśmy okropnie znużeni, bo jeździliśmy i chodzili przy wielkim upale przeszło 31 stopniowym; gdyby nie chłodzące kwaskowate banany, nie wiem doprawdy czy miałbym siłę wytrzymać takie gorąco. Pomimo to jednakże, poszliśmy dalej, odpocząwszy i zjadłszy cośkolwiek u dyrektora robót tamtejszych, gdyż w pobliżu jest fabryka, w której się wytapia antymon, w miejscach tych także się znajdujący. Mielśmy zwiedzić to wszystko, lecz tam chwilowo właśnie ustały wszelkie roboty. Pan dyrektor opowiadał nam, że dawniej lepiej szła ta fabryka, bo minerał znajdowano tuż pod powierzchni ziemi w wielkiej obfitości, ale teraz, jest go coraz mniej, tak, że skały trzeba rozsadzać aby doń się dostać. Nie pojechaliśmy tam zatem bo nęciły nas ciekawsze rzeczy, mianowicie pewien rodzaj żniwa, na słynne jaskółcze gniazda, jakie zbierają się tutaj cztery razy do roku. Pewnie się domyślasz o chem chęć mówić... o przysmaku, który bogaci lakotnisie chińscy, kupują na wagę złota, a dzisiaj już, nie tylko chińscy podobno. Ptaszki, które budują te gniazda jadalne, są, pokrewne naszym pospolitym jaskółkom zowią się salangany, i należą do rodzaju *Collocalia*. Z trudnością wielką i wcale nie tak przyjemną jak poprzednia drogą, dostaliśmy się do miejsca albo raczej punktu zbornego, z którego na okolicę rozciąga się działalność „wydzierców gniazd”. Przystęp do miejsc w których gnieźdzą się te ptaki jest niezmiernie trudny. Towarzyszył nam pan Hith i sam właściciel hotelu, w którym mieszkaliśmy wszyscy trzej. Zabawną jest rzeczą że ten właściciel, Francuz, zamieszkujący tutaj od lat kilkunastu, nigdy jeszcze nie widział dziwu, jaki my, przybysze z drugiego końca świata, skwapliwie spieszyliśmy oglądać. Wczoraj dopiero słysząc o naszym zamiarze, obiecał zejść się z nami w domu dyrektora, przybywając doń

krótszą lecz przykrzejszą drogą, gdyż nie ciekawy był zwiedzenia wyspy, tylko samego zbierania gniazd. Przedarłszy się przez las, miejscami tak gęsty, że prawie zdawał się nie do przebycia, miejscami świeżo wykarczowany przez Chińczyków, zakładających tam plantacje i ogrody; szliśmy potem znów tym samym lasem, tylko tu Chińczycy wycięli dla swęj wygody taki właśnie rodzaj tunelu, jakim niedawno płynęliśmy kódką, z tą różnicą że tamten utworzyła sama przyroda nad łożyskiem strumienia. Wyszliśmy z lasu, znaleźliśmy się wkrótce w skalistęj, dzikięj okolicy; chwilami szliśmy przez wertepy i zarośla, po jakichś bagnach, nie spotykając nigdzie ani drzewa ani krzaków, tylko trawy i zielska tak wysokie, że nawet pan Antoni jako z nas najwyższy znikł jak w lesie; musieliśmy utworzyć łańcuch trzymając się za ręce i iść jeden za drugim aby ułatwić sobie przebycie tej gęstwiny i aby w niej nie pogubić się, zabłądziwszy pojedynczo. Nie była to jednak część drogi przykręj pod każdym względem, bo mokre trawy i chwasty przyjemnie chłodziły. Wybrnąwszy z tej podrównikowęj bujnej roślinności, napotkaliśmy kilku Chińczyków otaczających stos drabin, sznurów, kijów bambusowych z przytwierdzonemi do ich końców różnemi narzędziami, wszystko, co służyć miało do zbierania jaskółczych gniazd i Chińczycy kręcili się jak mrówki roznosząc owe przybory na wszystkie strony. W życiu mojem nie widziałem jeszcze ludzi równie brudnych, jakkolwiek wszyscy Chińczycy jakich dotąd widywałem także brudni byli niepospolicie. Nasi towarzysze rozmówili się z jednym z nich, widocznie nadzorującym i ten natychmiast bardzo grzecznie zaprowadził nas, przykrą spadzistością na małą przestrzeń, niby dolinę wysoką trawą porośłą, jakby zapadła w głębię skał.

— Oto tutaj dziś zbieramy— powiedział nasz przewodnik w języku mieszanym z angielszczyzną, z którego niektóre wyrazy rozumięć zaczynam coraz lepiej. Spojrzałem naokoło i nie widziałem, aż spojrzawszy na pana Antoniego i w górę za kierunkiem jego oczu, o mało nie krzyknąłem z przerażenia: wyobraź sobie skały o ścianach niezmiernie wysokich i zupełnie prostopadłych, tak, że dostać się tam ku szczytowi zdaje się, bez skrzydeł, prostem niepodobieństwem, a jednakże tam właśnie w góry, poznałem po wpatrzeniu się, ludzi, wyglądających jak duże pełzające po gładkięj ścianie pająki... Musiałem spuścić oczy, bo zawrotu dostawałem jakkolwiek nie z góry ale w górę patrzyłem. Długie drabiny stały u ściany, ale nawet najdłuższe z nich do pewnej tylko sięgały wysokości, a tymczasem po nad niemi dopiero, wyżej daleko poruszali się ludzie.

— Przez litość, a wszakże i tam dokąd drabina sięga widzę gniazda, jeżeli się nie mylę, dla czegoż więc tych nie zbierają ludzie, zamiast piąć się wyżej w taki straszny niepojęty sposób — spytałem. Dowiedziałem się, że im wyżej uczone są gniazda, tem są lepsze i większą mają wartość, z powodu że wilgoć i różne inne wpływy, mniej na nie działają, a może nawet ptaki gnieźdzące się na najwyższych wyżynach, już z natury swęj doskonalszy w swoim rodzaju materiał posiadają na te gniazda.

— Zbierze się gniazda i poniżej będące — powiedział Chińczyk — ale zawsze zaczyna się od góry, aby najtrudniejszą robotę zrobić najprzód, dopóki ludzie jeszcze się nie zmęczą.

Zdziwiłem się, usłyszawszy, że nie Chińczycy pracują tam w górze, lecz Dayaki miejscowi, od dziecinnych lat zaprawiani do tej czynności, a nawet, najczęściej dziedziczący zdolność doń właściwą. Patrząc przez dobre szkła, mogłem rozróżnić jak ludzie ci, czepiali się ściany w cudowny prawie sposób, zatykając w szczeliny kawałki bambusów lub odszukując dawniej tam zatkniętych i chwytając się ich rękami i nogami. Zdawałoby się, że samo takie „chodzenie” dostatecznie już jest trudnem, jakim sposobem potrafią oni przytem odrywać jeszcze gniazda?... to już pozostanie dla mnie niezbadaną tajemnicą; widziałem przecież, jak bliższe odrywały rękami, a dalsze, za pomocą długich trzciny, z uwiązanym pewnego rodzaju nożem na końcu.

Panowie wypytywali Chińczyka dozorcę, i dopiero po-

kazało się, że właściciel hotelu, nie z ciekawości wcale, ani dla przyjemności korzystania z naszego towarzystwa, odbył mozolną tę wycieczkę, lecz dla zbadania „interesu” na gruncie, gdyż sam ma zamiar handlować tym towarem, który ogromne zyski przynosi. Oglądaliśmy gniazda, rozdzielane natychmiast na gatunki różnej wartości. Są to jakby kulki, mające średnicy około trzech cali, ważące około dziesięciu łątów. Najdroższe, zdjęte z wielkich wysokości, są takie czyste, że przedstawiają stwardniałą prawie białą galaretę, która istotę ich stanowi i jest właśnie jadalną, a wytworzoną z wydzielin gruczołów ślinowych owych ptasząt, i takie są niesłychanie drogie. Ostatni gatunek jest czarniawy, zanieczyszczony tak, że trudno jest rozróżnić samą galaretę od pierza, wodorostów, i różnych nieczystości. Zbieranie gniazd odbywa się cztery razy do roku, co dwa miesiące; w każdym gniazdku są zawsze dwa jajeczka; chciwi ludzie gotowiby biednym ptaszynom i piątą raz dziatwę zabrać, ale wtedy musiałyby wkrótce jaskółek zabraknąć... trzeba im więc poprzestawać na czterech rabunkach. Cały dzień następny musieliśmy odpoczywać w hotelu w Kuszing, po uciążliwej ostatnięj wycieczce. Czas ten spędziliśmy w wygodnych trzciniowych fotelach, tak urządzonych że można i nogi wesprzeć. Postawiliśmy fotele na przewiewnęj werandzie i jedząc ananasy, banany, młode kokosowe orzechy, wysysając trzcinę cukrową, i gawędząc z licznymi hotelowymi gośćmi a patrząc na wspaniałą dokoła roślinność, nic się nie nudziłem. To jest, źle mówię „gawędząc” bo przecież ja czasem tylko słówko wtrąciłem, pytając o coś, pan Antoni rozmawiał, a ja słuchałem i oddawałem się wymienionym powyżej zajęciom. Zdziwiłem się, że nie spotkaliśmy dotąd dzikich zwierząt, prócz małp, a przecież zdawało mi się, że muszą tu istnieć bawoły, lamparty, tapiry; a wszakże przebywaliśmy już tak olbrzymie lasy, że gdyby nie tunel sztucznie wycięty na wskrós tych gąszczy, to z pewnością wcale przejśćby ich nie można, chyba z siekierą w rękę, dla torowania sobie drogi, wycinając pasożytne i wijące się rośliny, liany grube jak moja noga w najgrubszym miejscu i znowu cienkie jak szpagicik, co wszystko razem wikła się, wiążąc z sobą gładkie pnie palm olbrzymich, i całą mnogość drzew innych.

— Moje dziecko — odrzeczę na to moje zdziwienie jeden z obecnych wojskowych — te straszne lasy, które jak słyszę przebywałeś na naszej wyspie, nie posiadają już grubego dzikiego zwierza, gdyż trzeba ci wiedzieć, że są one dziś już tylko, niby domowe ogródki, albo skwery miejskie lub parki co najwięcej, w porównaniu do tego, czem były dawniej i czem dzisiaj są inne lasy, w głębi wyspy. Tam nie zbrałoby ci spotkania z dzikimi zwierzętami; że zaś były one i w tych ogródkach, jakie Chińczyk karczuje teraz, na to masz dowód w tych właśnie tunelach, przerzynających lasy. Trzeba ci wiedzieć albowiem, że choć Chińczycy rozprzestrzeniają tunele owe, to jednak pierwsiastkowo nie oni je zrobili, lecz duże zwierzęta, wydeptujące sobie zazwyczaj takie ścieżki, choćąc zawsze w jednych kierunkach do wody, lub na ulubione leśne pastwiska, jak o tem zresztą z pewnością już nieraz czytałeś i słyszałeś.

Zamilkłem przestając się dziwić, że dzikich zwierząt nie spotkałem... „w owych ogródkach domowych”. Ach, jakbym pragnął, żebyś z bliska zobaczyła taki ogródeczek moja siostrzyczko; tylko *zobaczyła*, bo przechadzać się po nim wcale bym ci nie życzył, z powodu różnych małych niespodzianek, jakie tam co chwila spotkać mogą, naprzykład owa mokra trawa, wyższa od rosnęgo mężczyzny, z której wyszliśmy zupełnie jak z kąpieli.

W dalszēj rozmowie zaczęto liczyć, ilu Anglików wraz z radzą zarządzają krajem Sarawaka i, po ścisłem obliczeniu pokazało się, że jest ich... trzydziestu, a żołnierzy mają zaledwo kilkuset i to krajowców jedynie. Tych to trzydziestu ludzi, utrzymują w posłuszeństwie i spokoju ludność złożoną z kilkukroć stutysięcy morskich i lądowych dawnych rozbójników, więcej niż na wpół dzikich, dotąd jeszcze. Nie jestże taki stan tego państwa prawdziwym tryumfem rozumu nad siłą? Tak wszyscy mówili na werandzie, mając tu na myśli

ZADANIE KONIKOWE.

(od Jaguara dla Sarenki w Okularach).

rozum dzielnego radży, ale pan Antoni potrząsł głową i powiedział, że taka sztuka nie udałaby się rozumowi samemu, gdyby sobie w pomoc za doradcę nie brał serca... I wszyscy jednogłośnie zgodzili się na to zdanie.

— A jednak nieraz zdarzyło mi się słyszeć, że serce jest niepotrzebnem w polityce — ośmieliłem się bąknąć pochichutku, ale że cicho było jakoś w owej chwili, wśród zebrania, wszyscy usłyszeli co powiedziałem i spojrzeli na mnie, a ja zaczerwieniłem się po uszy, bo mówiłem to na prawdę tylko do pana Antoniego, któremu przywykłem mówić wszystko, co mi przez myśl przejdzie, a wcale nie w chęci żebym miał objawiać przekonania własne w poważnej rozmowie. Nikt tego jednak za złe nie wziął, a jeden z Anglików odwróciwszy oczy spokojnie odemnie, i patrząc na odległe wysokie, błękitnawe szczyty gór, rzekł, jakby do nich mówił:

— Założyciel naszego państwa, James Brook, był zwyciężym wrogiem niewolnictwa, obejmując zaś władzę nad Sarawaką roku 1841, zastał je głęboko zakorzenionem. Wszyscy naczelnicy plemion malajskich, którzy należeli i należą do składu zarządu krajowego, mieli mnogich niewolników stanowiących ich bogactwo i potęgę, więc znieść jednym posunięciem pióra niewolę, znaczyło to obruszyć na siebie cały naród i wzniecić odrazu płomień buntu. To też nie zniesiono niewoli, zrobiono tylko spis istniejących już niewolników i zakazano wywozu i przywozu tychże. Dzicy zwyczaj nie daleko patrzą w przyszłość, zatem przyjęli postanowienie, które narazie nie uczyniło żadnej zmiany. Tymczasem przez ciąg lat długich przywiązali się do radży, czy też ulegli rozumnej jego potędze, wytwarzającej ich dobrobyt do tego stopnia, że gdy roku 1883 wyszło rozporządzenie, iż niewolnik może się wykupić za cenę pracy pięćmiesięcznej, już nikt się nie obruszył, może po części także dla tego, że i teraz nie zaprowadzano żadnej zmiany na razie. Ten i ów jednakże wykupuje się czasem, starcy umierają, a ogół jednocześnie odwyka od zastarzałego zwyczaju, czego wszystkiego następstwem jest, stałe a powolne zmniejszanie się ilości niewolników w takiej mierze, iż niemylnie przed r. 1890 nie będzie u nas ani jednego. Oto jak w tym wypadku grożącym straszliwym buntem, polityka pogodziła się z sercem.

(d. c. n.)

Łamigłówka kryształowa.

(Od Kozaka z nad Dniepru dla Dzieweczki z nad Berezynki).

1. Spółgłoska.
2. Podpora starości.
3. Przedmiot używany do szycia.
4. Miasto we Włoszech.
5.
6. Góry w Wielkiej Brytanii
7. Rodzaj zarostu.
8. Owad.
9. Spółgłoska.

Środkowy rząd i litery środkowe utworzą imię i nazwisko słynnego rzeźbiarza z czasów dawniejszych.

| | | | | | | | |
|---------|-----|-------|-------|-----|-------|--------|-------|
| stra | ko | lub | wnych | rzu | już | czo | wę |
| szum | gę | ca | tyl | ra | dro | raw | J |
| od | że | Od | skiej | już | ny | już | Ka |
| si | dłu | po | cia | le | strze | ry | żu |
| w klucz | je | gos | ły | pol | bo | wrzask | da |
| gi | spa | ra | wie | chy | cia | i | za |
| zio | po | gdy | chać | za | rze | ma | szcze |
| da | sły | trzny | do | gro | je | wią | już |

ROZWIĄZANIA DO N-ru 31-go.

Zadania konikowego:

Dzwonek—Rezeda—Ułanka—Żmijowiec—Bławatek—
Amarant — Czeremcha — Kalina — Akacja.

Drużbacka.

Szarady:

Za — ko — pa — ne.

MARYA MATUSZEWSKA

przełożona pensyi żeńskiej

przy ul. Leszno Nr. 28 w Warszawie.

Zawiadamia, że przyjmuje uczennice przychodnie i pensy-
narki na warunkach przystępnych.

3—1

TREŚĆ: Króliki w Australii (z drzew). — Anioł Pański, wiersz p. Maryą Różę. — Wiśnie księdza proboszcza, z opowiadania księżny Kantakuzen Altieri. — Tyrnowa (z drzew). — List z Paryża, Jaskółki z nad Sekwany. — Puszcze Syberyjskie. — Wspomnienie młodego wędrowca z podróży naokoło świata (c. d.). — Łamigłówki i rozwiązania. **Dodatek:** Pomyłki (z drzew). — Do współki z aniołem, wiersz p. N. Sokołowską. — Uczniowie w kozie. — Tajemnicą Ignasia i Józki. — Łamigłówka i rozwiązanie, Skrzynka do listów. **Dodatek książkowy:** Goście ciotki Klotyldy, p. Mrs. Molesworth, przełożyła z angielskiego T. P.

POMYŁKI.

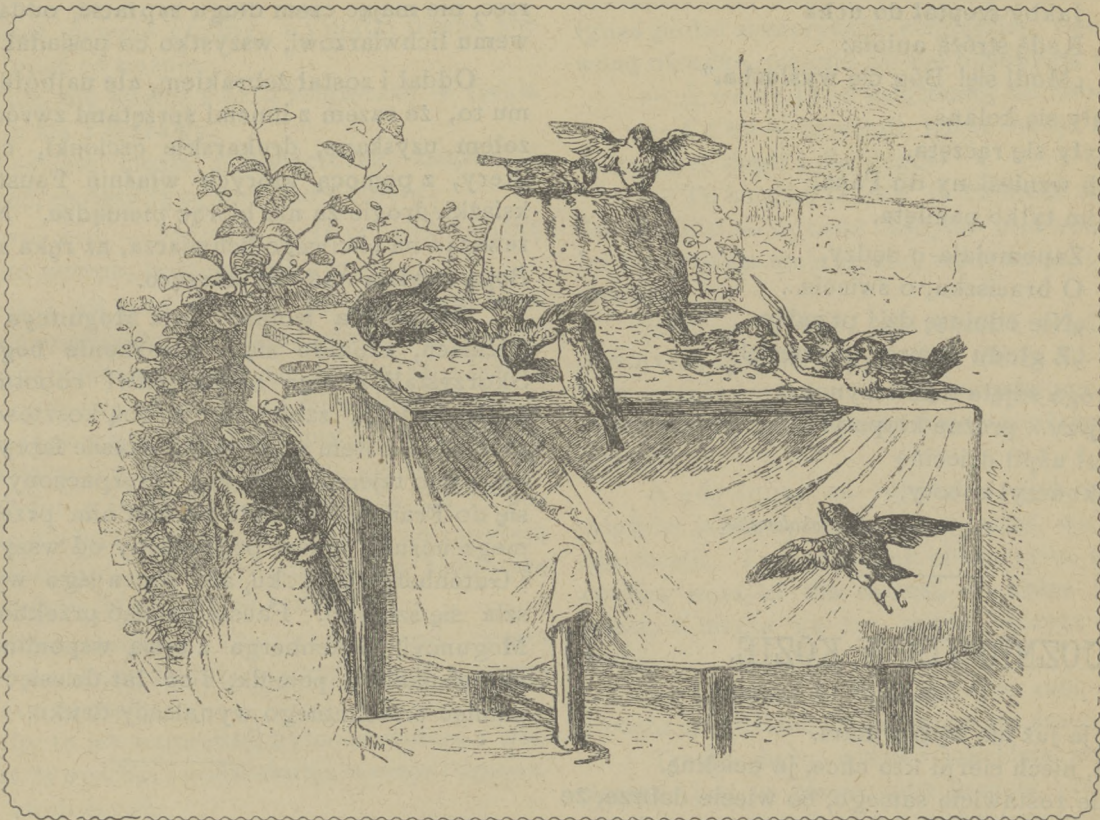
Do altany w pięknym ogrodzie weszła raz gospodyni, niosąc biały obrus i coś w koszyku, nakryła stół obrusem, postawiła na nim przepyszną babę biszkoptową, położyła koło niej doskonały placek marcypanowy, mówiąc:

— Tutaj moje pieszczotki będą jadły podwieczorek, i poszła po inne jeszcze przysmaki do domu. Tymczasem wróble i inne ptaszki, jakich mnóstwo było naokoło, wi-

ptactwa, żebym ja mógł bez kłopotu ułowić sobie zwierzynek, gdy te chciwe stworzenia zajmą się ciastkami. Bardzo słusznie uczyniła tak gospodyni, bo też w całym domu niema tak użytecznego stworzenia, jak ja jestem.

Tak sobie myśląc, zaczął się kot i skoczył na ptaki, zajęte jedzeniem na stole. Ale pazury ostre uplątały mu się w obrus i szarpiąc się, kot ściągnął na ziemię, obrus, ciasto, i sam spadł także.

Wtem przyszła gospodyni z wnucętami, pieszczotkami swymi, dla których przygotowywała podwie-



Pomyłki.

dząc to i słysząc, zaczęły między sobą szczebiotać, snując różne domysły, o jakich to pieszczotkach mówiła gospodyni. Aż sobie wyrozumowały, że to pewnie o nich samych, bo jakież miłsze są pieszczotki od ptaszek na świecie? A zatem zfrunęły ptaszki całą chmarą na stół i na ciasto, i dziobać je zaczęły zawzięcie.

Nie spostrzegły przy tem zajęciu, że ogromny, tłusty kot domowy zbliżał się do nich pocichu. Kot był wielki pieszczoch i łakotniś, zdziwił się, ujrawszy ptaki jedzące przysmaczki na obrusie, ale po namyśle zrozumiał wszystko:

— Już wiem — pomyślał sobie — widziałem, jak ztąd wychodziła ta pocziwa nasza gospodyni; nic innego, tylko ona tak naumyślnie urządziła przynętę dla

czorek i teraz niosła miskę śmietany; załamała rękę ujrawszy co się stało z jej babą i plackiem. Napróżno pytała, kto to zrobił? Szczęściem miała drugą babę i placek w szafie, i temi poczęstowała wnuczęta, a pani Kurta, mieszkająca wraz ze swą rodziną w budzie, z której widziała i słyszała co zaszło, taką dała przy sposobności moralną naukę dzieciom swoim:

— Ptaki sądziły się pieszczotkami gospodyni, a kot uważał się za najużyteczniejszą w domu istotę i przeto sami doznali przykrości, a gospodynię skrzywdzili: strzeżcie się pychy i zarozumiałości, moje dzieci, a pełniąc powinność, nie przeceniajcie zasług waszych!

DO WSPÓŁKI Z ANIOŁEM.

(Legenda bretońska).

Przędzie Rózia, ojl przedzie,
Bo za cenę roboty,
Pożywienie mieć będzie
Dla braciszka sieroty.

Dzwon przerywa wciąż ciszę,
Do kościoła wciąż wzywa...
Dziewczę brata kołysze,
Cienkić nici nie zrywa.

Słodkich oczu bławatki
Topi w lubéj dziecinie:
„Nie płacz Janku bez matki...
„Nynie bracie mój! nynie!”

Lecz dzwon woła, a woła,
Jakby szeptał do ucha
Radę stróża anioła:
„Módl się! Bóg cię wysłucha.”

Ugięły się kolana,
Złożyły się rączęta,
Duch wzniesiony do Pana,
O Nim tylko pamięta.

Zapomniała o nędzy,
O braciszku, o świecie...
„Nie odniosę dziś przedzy...
„Z głodu zamrze to dziecię!”

Trwoga zdjęła dziewczynę,
Spojrzy... próżne kłopoty!
Anioł uspił dziecinę
I dokończył roboty.

N. Sokołowska.

UCZNIOWIE W KOZIE.

— Hans, ja już nie wytrzymam.
— Ani ja, niech cierpi kto chce, ja ucieknę.
— A mnie zostawcie samego, bo wiecie dobrze, że kulawy nie nadążę za wami.

— Nie zostawimy Franca — zawołali wszyscy, a było ich dwunastu uczniów sztuki drukarskiej, siedzieli około stołu, na którym leżały dziwne jakieś kratki i wyrznięte metalowe litery.

— Uciec nie sztuka — odezwał się po chwili najstarszy, ten którego Hansem nazywano, ale jak ten niegodziwy Faust dogoni a złapie, to oddaj się Bogu, On chyba nas uratuje, za to że na chwałę Jego pracujemy.

— Piękna mi chwała Boża, tylko oszukaństwo i baśta — odezwał się Kurc. Na chwałę Bożą pracują zakonniki, bo po literze przepisują Pismo Święte, my zaś cóż robimy? składamy znaczki, smarujemy masą i odbijamy na papierze, a ten niecnota Faust sprzedaje to za pismo, kiedy żaden z nas nie potrafiłby ani jednego nagryzmolić słowa.

— Żebyż choć człowiek użył co na świecie za to kłamstwo — odezwał się kulawy — ja, jak ja, siedział-

bym i tak jak siedzę, ale was młodych, zdrowych, więzić pod kluczem jak złodziei, za to, że mu pełne worki talarów za waszę znoszą pracę.

— Tfu! nie gadajcie tylko róbcie, bo stary sknera i jeść nie da, jak nie dokończymy tomu — narzekał łakomy Walter.

— Już cię jeść dać musi, przecież i zwierzę żywi się żeby lepiej pracowało — zakończył rozmowę Hans, a Franc dodał pocichu — niech go tam... ale nie śmiał głośno wymówić przekleństwa, bo nie godzi się źle życzyć, nawet największemu nieprzyjacielowi.

Kiedy się to działo, w zakratowanej izbie bogatego Fausta, gdzie uwięziono dwunastu robotników, aby drukowali pierwsze książki, prawdziwy wynalazca druku, szlachetny Jan Gutenberg, cierpiął największą nędzę w tem samem mieście. Faust pożyczyl mu był 2,000 złotych na wykonanie sławnego odkrycia, i biedny starzec, nie mając czem długu zapłacić, oddać musiał, chciwemu lichwiarzowi, wszystko co posiadał.

Oddał i został żebrakiem, ale najboleśniejsem było mu to, że razem z innymi sprzętami zwrócił z takim móżem uzyskane, drukarskie czcionki, czyli metalowe litery, z pomocą których właśnie Faust teraz odbijał książki, drogie za nie biorąc pieniądze. Narzekano więc zewsząd na chciwego lichwiarza, aż ręka sprawiedliwego Boga zawisła nad nim karząco.

Wybuchła wojna. Cała Moguncya stanęła w płomieniach, zapaliło się i mieszkanie bogatego oszusta. Skorzystali z tego nieszczęśliwi robotnicy, wytłamali kratę i uciekli, zabierając z sobą kosztowne drukarskie czcionki a potem pozakładali własne fabryki książek, odkrywając tajemnicę druku. Zrozpaczony Faust wyniósł się do Francyi, spełniło się nad nim przekleństwo chromego ucznia, umarł pogardzony od wszystkich. Umarł i Gutenberg 1468 roku, ale sława jego wynalazku rozeszła się szeroko. Fausta pamięć przeklinali mieszkańcy Moguncyi, Gutenberga z czcią wspominając wystawili mu wspaniały pomnik, i co lat dziesięć święcą dotąd pamięć szlachetnego wynalazcy druku.

Tajemnica Ignasia i Józia.

(Dokończenie).

Wróciła zdyszana i rzuciła się na murawę.

Ale Ignas nie dał za wygranę,

— W téj ślicznej książce którą ci kupię, będą bardzo ładne obrazki, będzie Matka Boska, Pan Jezus, będzie Święty Józef..

— Ja mam świętego Józefa — przerwała dziewczynka — dostałam na kolędę od księdza proboszcza, bo umiałam dobrze pacierz, pamiętasz?

— Pamiętam, a coby to księżulek powiedział żebyś czytać umiała, na przyszłą kolędę dał by ci dwa obrazki z pewnością.

— No, pokaż to „a” — rzekła po chwili zastanowienia — ale jak nie dostanę dwóch obrazków na kolędę i książki od ciebie, to się oduczę czytać, zobaczysz.

— Dobrze, dobrze — rzekł uradowany chłopak — i z całym zapałem młodego nauczyciela, zabrał się do nauki z siostrą.

Przy każdej literze, opowiadał jej różne zabawne historyjki, dziewczynka się śmiała, i tak się serdecznie zajęła elemantarzem, że zapomniała nie tylko o gąskach, ale o całym świecie. Baczące jednak oko Ignasia czuwało i nad niesforną gromadką gęsi, które właśnie powzięły nagły zamiar bawić się w chowanego, i skryć się przed dziećmi w jęczmień. Ale się figiel nie udał, Ignas zawrócił szkodników.

— Ale — rzekł chłopiec spoglądając na słońce — matusia kazała żebyś ty Józia poszła do domu po podwieczorek.

— Mnie się jeść odechciało — mówiła Józia obojętnie, trzymając paluszek na literze „O” które jej miało przypominać obowiązek, i grubego organistę — mnie się nic jeść nie chce.

— Ale tatuś pewnie głodny, a i matki trzeba słuchać — rzekł Ignas poważnie.

— To pójdę, ale wezmę z sobą książeczkę — rzekła Józia podnosząc się z murawy.

— Jak będziesz niosła podwieczorek, książka ci będzie zawadzać, możesz ją zgubić, lub podrzeć.

— Schowaj więc — odrzekła mała oddając książkę — jak wrócę od tatusia, będziemy się uczyć.

— Dobrze, a nie mów Józia nic ani matusi ani tatusiowi, jak się nauczysz dobrze czytać, dopiero to będzie radość, ani będą wiedzieli kiedy się nauczyłaś. Kupię ci książeczkę, poproszę organisty to mi wybierze jak będzie w mieście, i jak w niedzielę będziemy szli do kościoła, ty wyjmiesz książeczkę, a matusia woła: „co to masz Józia?” a tatuś doda: „a tobie to na co dzieciaku. A ty powiesz: będę się modlić z książeczki. A rodzice zapytają albo to umiesz czytać? Tedy ty otworzysz książeczkę i przeczytasz ładnie „Modlitwę za rodziców”.

Dziewczynina słuchała z otwartymi ustami, oczęta jej błyszczały, nareszcie zaczęła klaskać w ręce, a potem rzuciła się bratu na szyję.

— Oj żeby to jak najprędzej było — zawołała z własciwą dzieciom żywością, i podskakując wesoło i śpiewając, pobiegła ku domowi.

I tak nauka trwała przez całe lato, dziewczynka nie wydała się z tej wielkiej tajemnicy, i nawet nie dała poznać, że czyta wcale już nieźle.

Tymczasem Ignas, chcąc dotrzymać obietnicy danej siostrze, że jej kupi książeczkę do nabożeństwa, łamał sobie biedak głowę, jak to uczynić, nie mając pieniędzy.

Ale na wszystko można znaleźć sposób, gdy kto chce czego szczerze, otóż i Ignas zdobył pieniądze, i to zarobione własne, uczciwą pracą. Nauczył się wyplatać koszyki, proste, z grubej łożyny, jakich po wsiach używają przy kopaniu ziemniaków. Napracował się chłopak niemało, nim mu się udało zrobić koszyk zgrabny i mocny, a utrudniało robotę i to, że pracował także w tajemnicy. Zbliżył się dzień Matki Boskiej Siewnej, tak zwaną u ludu, bo wtedy rozpoczynają się siewy ozimin, i w ten to dzień, Józia po raz pierwszy miała wystąpić z książką w kościele, od tygodnia Ignas miał ją

schowaną, a i matusia miała otrzymać dwa koszyki, wyplecione własną ręką syna.

Gdy nadszedł nareszcie dzień upragniony, dzieci od samego rana, były tak wesołe, że aż to zwróciło uwagę rodziców.

— Co ty Józia tak dziś brykasz — zapytał ojciec — oj, wróble w tej głowie, wróble.

— Oj nie wróble tatusiu, nie wróble — odrzekła podskakując dziewczynka — obaczycie, ino będziemy szli do kościoła.

— A dyc jeszcze nigdy nie było jej tak pilno do kościoła jak dzisiaj — rzekła matka — ciągiem ino woła: do kościoła chodźmy, do kościoła.

— Bo i czas już matka — rzekł ojciec — trzeba się zabierać, dziewucha może myśli, że dziś w kościele będą rozdawać jabłka albo gruszki, zwyczajnie pustota.

Gdy już wszyscy byli gotowi do wyjścia, i matka, zawiązała Józii śliczną niebieską chusteczkę na głowę, Ignas podał siostrzyczce książeczkę, oprawioną w czerwonej okładce, pięknie złotem ozdobioną i rzekł:

— A weźże Józiiu książeczkę do nabożeństwa.

— Co to! — zawołali naraz oboje rodzice — co to za książka, zkąd? i dla kogo?

— Tę książkę tatusiu ja kupiłem za własne pieniądze dla Józii — odrzekł chłopiec czerwony od radości — bo kiedy Józia umie czytać, toć słuszna, żeby się z książki modliła.

Rodzice wierzyć nie chcieli, a gdy dziewczynina otworzyła książkę, i drżącym nieco od wzruszenia głosem zaczęła czytać modlitwę za rodziców, ojciec i matka popłakali się na dobre, ściskając i całując po kolei swoje pociechy.

A gdy Ignas na zapytanie ojca o pieniądze, opowiedział jakim sposobem je zarabiał, wierzyć mu prawie nie chcieli. Dobry jednak chłopczyzna, miał już w obórce dwa koszyki dla matusi, po które pobiegł natychmiast, a matka na ten widok złożyła ręce i rzekła ze łzami:

— O dzięki Ci Boże i Panie mój, za takie dobre i kochające dzieci, błogostawże im przez całe życie.

Trzeba było widzieć jak Józia szła ze swoją książeczką, jak ją niosła, aby przecie i ludzie wiedzieli że ona już czytać umie, że nie jest jak te gąski, które pasala, a jak się modliła w kościele przykładnie, przeczytała prawie całą swoją małą książeczkę.

A gdy przyszła kolęda i ksiądz proboszcz dowiedział się, jaką to zachętą Józia nauczyła się czytać, dał jej aż trzy śliczne obrazki, a Ignasia pogłaskał po głowie i rzekł:

— Dobrze sobie chłopcze poczynasz, będzie z ciebie porządny i pożyteczny człowiek. Cieszę się że mam w swęj parafii takie dobre dzieci, i na pamiątkę, dam każdemu z was piękną i większą książeczkę do nabożeństwa, niż te jakie macie.

Ksiądz proboszcz będąc wieczorem we dworze na herbacie, opowiadał jak to Ignas nauczył siostrę dobrze czytać, i jakim sposobem kupił jej książeczkę. Zdziwiło to jednak bardzo zacnego proboszcza, gdy spostrzegł, że ośmioletnia panienka zaczerwieńnięła się strasznie, i spuściła oczki na filiżankę. Coby to miało znaczyć? pytał

się sam siebie w duchu. Ogląda się, a tu chłopczyk, młodszy o rok tylko od panienki, mruga strasznie oczkami, przejada i przetyka, a buzia jak burak. Zdziwiony coraz bardziej, myślał, czy się pochorowały, czy co, i już chciał matki dzieci zapytać, ale dał pokój, bo spostrzegł że mama spogląda na dzieci smutnie trochę, i zdawało się proboszczowi, że usłyszał westchnienie. Coby to znaczyć miało, ja sama nie wiem.

Bronisława Porawska.

SZARADA.

(Horpyna dla Dobréj pani).

Pierwsze zwierz dziki, postać wspaniała,
Jam go raz jeden w życiu widziała;
Drugie domowy zwierz ulubiony
Wszystkim potrzebny na wszystkie strony;
Trzecie ja jestem: wszystko rośliną,
Krzyżową zwana jest jój rodzina.

ROZWIĄZANIE DO N-ru 32-go.

Łamigłówki w kwadraciku:

K O T
O K A
T A K

Skrzynka do listów.

Rosiczko z nad Rowu, masz te same własności, co twoja imienniczka roślinka z tą wszakże różnicą, że serca ludzkie chwytasz. Jakże tu nie pogawędzić, jak najchętniej z taką dzieciną serdeczną, a osamotnioną na długo? Pisuj więc dziewczeczko; każdy liścik twój mile będzie witany. Przesyłka otrzymana. „Bóg zapłać” tak tobie jako i Córce Mazurów.

Pomadkę różową mile witamy w gronie korespondentek, ale dlaczego pod koniec dopiero wakacyj odezwała się do nas?

E. M. Żądane szczegóły w swoim czasie umieścimy.

Mazur z nad Dunaju zasłużył na nagrodę podwójnie nam jednak przyjemnie, że ją dostał, skoro tyle mu radości sprawiła. A może i przyspieszyła powrót do zdrowia? Prosimy zastosować do siebie odpowiedź do E. M.

Na „bazgranie” **Fiołeczka z nad Wisły** jedynym lekarstwem jest pisywanie kaligrafii. Liścik w swoim czasie zamieścimy.

Sobótkę mile witamy jako powracającą do grona naszych korespondentek, lecz czemuż to Sobótko tak rzadko się odzywa? życzymy jój, aby szczęśliwie uniknęła w tym roku wszelkiej pomyłki w nadesłaniu robotki konkursowej.

Litwince z nad Szczary posłaliśmy żądany numer; nie naszą jednak winą nieakuratność w wysyłce.

Z Hajduczka stać się „Białą Akacją”, to prawdziwie przerzucić się w drugą ostateczność! Pragnęlibyśmy pojechać na wieś dla poznania istotki ulegającej tak nagłym przemianom... Nie możemy uwierzyć aby osobka, która tak porządnie pisze, nie umiała uszyć prostej koszulki, którąby mogła okryć jaką biedną dziecinę.

Gwiazdeczce oraz wszystkim autorom tak liścików jak i dobrych łamigłówek odpowiadamy: „Cierpliwości na każdego z czasem kolej przyjdzie!

Nie! nie pomyślimy o **Poranku Majowym** „Jakież to niemądre stworzenie!” ale za szczerość i zaufanie sercem zawsze płacić będziemy.

Bohun i L. K. nadesłali dobre rozwiązanie.

Kochana Kukulko z nad Sanny! Zdaje mi się, że nie pisujesz do Wieczorów, gdyż nigdzie nie widzę twego pseudonymu. Czy pamiętasz jak mierzyliśmy się? Odpisz *Mysze białej*.

Droga Brzydotko z nad Tamizy! Nie znam cię, ale twój pseudonym bardzo mi się podoba. Napisz mi wiele masz lat i gdzie mieszkasz? Ja mam lat dziesięć i mieszkam na wsi. Całuję cię serdecznie. *Pamadka różowa*.

Dziękuję ci serdecznie miła **Niezapominajko z nad Warty** za twą miłą odezwę; ja tak was kocham złote moje, nic dziwnego, że pragnę korespondować z wami. Donoszę ci błękitny kwiateczku, że mieszkam na Podolu, jestem najczystszej wody wieśniaczką, uczę się w domu, mam lat 13-cie nazywają mnie Marylką. Proszę niezapominać o *Poranku majowym*. Ej! **Rybko z Warty!** odpisz prędzej kochanie, bom się rozgniewać gotowa za tak długie milczenie.

Kochana Stokrotko z nad Stochodu i Topolko srebrna. Podobałyście mi się bardzo i chciałabym do was pisywać. Ciebie luba Stokroć proszę, abys mi doniosła coś o sobie, gdyż wiem to tylko, że jesteś już sędziwą osobą, skoro do konkursów nie należysz. Ciebie **Topoleczko** miła zapytuję, ile masz lat, jak się nazywasz i czy bardzo się cieszysz, żeś została przedstawioną do nagrody. Żegna was, prosząc o odpowiedź *Jedlinka*.

Kochana Litwinko! Podobał mi się bardzo twój pseudonym tak podobny do mego i dla tego chciałabym korespondować z tobą. Mam lat 13, noszę imię drugiej żony **Ludwika Węgierskiego**, mieszkam na wsi w R... Nietylko z pseudonymu lecz sercem i duszą jestem Litwinką. Napisz mi proszę, jak ci na imię i gdzie mieszkasz, może się znamy. Czy lubisz konną jazdę i krokiet? Kończę list, z bojaźni by go redakcja nie obcięła. Ściska cię serdecznie *Litwinka z nad Szczary*.

Kochana Maryno z pod Garwolina! Domyśl się, kto jestem! poznałam cię z listu do „Brzydotki”. Mieszkam w mieście niedaleko ciebie; czasem bywamy u siebie i pisujemy przez naszych tatusiów. Mam nadzieję, że mi odpowiesz, bo jeżeli do nieznajomych paucienek pisujesz, to zechcesz może odpisać i kochającej cię *Ślizgawce*.

Kochana Stokrotko z nad Stochodu. Liścik twój wielką mi sprawił przyjemność, bo już oddawna czuję do ciebie sympatyę. Mieszkam pod Warszawą, a ty gdzie? Odpisz mi prędko droga **Stokroteczko**, tylko wiecej donieś o sobie, bo będąc starszkami, pragnęłabym bliżej się z tobą poznać. Całuję **Brzydotkę z nad Tamizy**, **Amazonkę** podlaską i **Gazele z gór Świętokrzyskich**. *Śnieżycza*.

Droga Kotwico. Zgadłyśmy od razu kim jesteś, bo czyż można zapomnieć chwil miłych z tobą spędzonych? Odpisz nam wkrótce w **Wieczorach**, gdzie wyjechałaś, a my długim listem ci odpowiemy. **Gospozi z nad Warty**, za uściśnienie dziękujemy i prosimy w zamian o przyjęcie serdecznego ucałowania. **Wiosno droga** ucieszyłaś nas zagadką, gdyż od ciebie pierwszej otrzymałyśmy taki dowód pamięci, przyjmij za to podziękowanie. Ściskają was *Śnieżycza i Krasnotlica*.

Drogi mój Poranku majowy! Odrazu zgadłam kim jesteś, Na imię ci **Marylcia**, masz brata **Władzia** i siostrzyczkę **Zosię**, która jest chrześniaczką mojej matysi. Żałuję bardzo, że nie często możemy się widywać, miałyśmy zamiar w lipcu odwiedzić twoich rodziców, ale matysia wkrótce wyjeżdża za granicę. Tymczasem przyjmij wraz z rodzeństwem serdeczny uścisk od *Rosiczki z nad Rowu i Córy Mazurów*.

Kochana Mimoso! Z listu twego do **Gałązki heliotropu**, dowiedziałam się, że sprowadzisz się do **Kalisza**, gdzie i ja mieszkam. Mam lat 12-cie jestem jedynaczką, uczę się w domu, na imię mi **Janina**, jestem szatynką z ciemnymi oczyma, postaraj się abyśmy się poznały. **Gałązkę heliotropu** znam doskonale, gdyż brałam z nią razem lekcye gimnastyki, a przez zimę spotykałyśmy się na *ślizgawce*. Czeka odpowiedzi i ściska cię serdecznie *Sobótko*.